

Obama nie żyje

5 maja 2011

Śmierć Osamy bin Ladena przyćmiła nawet tak doniosłe wydarzenie jak beatyfikacja Jana Pawła II. Od triumfującego Obamy, który egzekucję wygodnie oglądał niczym reality show z własnego fotela[1], po Radosława Sikorskiego, który stwierdził „że dziś smutni są tylko źli ludzie”[2], wszyscy hucznie świętowali śmierć bin Ladena. Przynajmniej na czas pisania tego artykułu będę wobec tego bardzo złym człowiekiem, albowiem smuci i jednocześnie budzi mój głęboki niepokój mitomania i fałsz jaki płynie strumieniem od rządzących na całym świecie. Pozostawiając obok dyskusję na temat prawdziwości tego 'dokonania' opiszmy sobie najpierw samą sytuację. Ukrywający się co najmniej od 10 lat po wioskach pakistańskich były, amerykański (nie)tajny współpracownik zostaje wytropiony przy użyciu satelitarnego namierzania, oddziałów specjalnych i najnowocześniejszej technologii, najbogatszej armii świata, następnie rozstrzelany wraz z anonimowymi osobami i najpewniej również anonimową kobietą[3], która przy nim była, następnie na wielki finał jego zwłoki wyrzucono do Afgańskiego Morza [to jednak okazało się niemożliwe – w Afganistanie dostępu do morza nie ma – uzupełniono więc informacje o Morze Arabskie]. Jeżeli to ma być „Triumf Demokracji”, jak wielu komentujących opisało to dokonanie, to wypada życzyć nam wszystkim, byśmy z tą demokracją mieli jak najmniej do czynienia. Obama, laureat pokojowej nagrody, który reklamował się jako odejście od bushowskiej polityki walki z terroryzmem, najpierw zrezygnował nawet z obiecywanego zamknięcia Guantanamo, by kolejno rozpocząć wojnę w Libii zgodnie z tradycyjnie imperialną linią polityki G. Busha i na finał słowami, którymi równie mógłby przemawiać jego poprzednik komentować bezlitosną likwidację byłego współpracownika. Rozentuzjasmowany tłum jaki wyszedł pod Biały Dom fetować śmierć Osamy zdemaskował jednocześnie nastroje liczącej się części tkanki społecznej USA. Ten

wydawałoby się, bogaty i ciemiejący jedynie kraj, żył i żyje wciąż w atmosferze stanu wojennego, chcąc uchodzić za obleżoną twierdzę, która rozpaczliwie broni się przed zagładą, niosącymi demokrację wojnami na Bliskim Wschodzie. Pozycja ofiary, jest jednocześnie doskonałą bazą do poszukiwania wroga. Tym wrogiem USA są nadal terroryści, pakowani w jeden zestaw McDonalds z dzikością i irracjonalnością jaką reprezentuje wschód i co za tym idzie kraje arabskie. Nacjonalizm jaki pociąga za sobą ideologia neoliberalnej dominacji i imperialnej doktryny w USA staje się jaskrawo widoczny.

Bez sądu, bez szans na obronę, 'czyściuteńka' likwidacja. Terroryzm państwowy, jaki stosuje Ameryka jest nieproporcjonalny do działań terroryzmu wschodniego, wyhodowanego za fundusze samych Stanów. Szacowany milion ofiar Wojny Irackiej, który Wikipedia nazywa Stabilizacją Iraku[4] wcale nie jest bowiem, jak głosiła i nadal głosi bushowsko-amerykańska propaganda zadośćuczynieniem za 11 Września, lecz starą, dobrą, wojskową operacją poszerzania wpływów gospodarczych. Nie można też inaczej interpretować wojny w Libii, którą właśnie toczy NATO, uśmiercając wnuczeta Kaddafiego[5]. Ze swobodą łamane jest prawo międzynarodowe, a tropienie i zdalne wysadzanie ludzi [wysadzanie się samemu w samobójczym ataku, to zło, i co innego] jest stosowaną przez państwo Obamy normą. „No-fly zone” jak nazwano rezolucję Narodów Zjednoczonych pozwala NATO korzystać ze „wszystkich niezbędnych środków” by chronić cywilów przed rzekomymi atakami rządu Kaddafiego. W granicach tego może mieścić się wszystko, od zabicia dyktatora z rodziną do drugiego pokolenia, po zrzucanie bomb kasetowych, napalnu czy użycie broni atomowej jeżeli dyktator nadal nie będzie się poddawał. Nie chodzi o pokój, nie chodzi o wartości (nieobecnego tu od dawna ducha humanizmu), jedyne co liczy się dla Obamy to wpływy w regionie, a osiągnąć je z pomocą swego aparatu propagandowego USA jest w stanie nawet pod przykrywką ratowania Troskliwych Misiów, które Kaddafi mógłby molestować

niczym Fritzl w swojej piwnicy. Zjawisko wyhodowanego terroryzmu, którym obecnie przeforsowuje się najbardziej ordynarne i krwawe decyzje, które w większości dotyczą niewinnej ludności biedniejszych krajów jest czymś co wrosło w kulturę USA i Europy. Za tym obrazem wroga: terrorysty kryje się zakamufLOWany religijny fundamentalizm i szowinizm. Ten fundamentalizm i szowinizm narodowy kryje się po obu stronach barykady, nie mają jednak one tego samego arsenału środków i nie są równorzędnymi konkurentami, czy to gospodarczymi, czy militarnymi. Oba te narzędzia kontroli społecznej, są jednak wtórne i tworzą fikcyjną przestrzeń opozycji kulturowej. Obama, i imperialna doktryna żeruje jednak na tych naturalnych dla większości lękach i dalej pod publiczność bez procesu zarzyna starców, anonimowych ludzi i może jeszcze kozy grasujące po afgańskich wzgórzach – jednocześnie stawiając na swoim w globalnym układzie sił ekonomicznych na świecie. Tym samym jest oczywiste, że „wojna z terroryzmem” USA, nie skończy się nigdy. Kiedyś [a dla części nadal] tym wrogiem mógł być, bardziej elegancki i lepiej przemawiający do mas komunizm radziecki, teraz wraz z postmodernizmem, pojawił się bardziej lipny, ale nadal chwytliwy motyw terrorysty.

To nie Osama bin Laden został zabity. Nie miał on już wpływu na decyzje rządu USA od bardzo dawna. W Europie to kryzys był i nadal jest najistotniejszy, a Osama od dłuższego czasu tkwił tylko w formie -jakże trafnego – żartu w „Wojnie polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” Doroty Masłowskiej. Reanimowany trup, zabitego na nowo wroga ożywił tylko skrajnie nacjonalistyczne, bezrefleksyjne, ślepo prorządowe i ultrakonserwatywne bloki. Osama nie żył już od bardzo dawna. Kto inny teraz dokonał swojego żywota, tą osobą jest prezydent USA, Barack Obama. Dawna nadzieja na 'zmianę', człowiek, który miał zmienić obliczę USA, jest teraz urozmaiceniem [bo trzeba jednak przyznać, że od Busha różni go kolor skóry] w prowadzonej w ten sam sposób polityce zagranicznej co za poprzednika. Obamie nie wyszło, aż stał się tym, z którym przysięgał walczyć. Wszedł w tą samą linię interesów i

powiązań, w którą wejdzie najpewniej każdy, kto w obecnym układzie, w którym dominują siły prowojenne wygra wybory do Białego Domu. Mieliśmy wszyscy de ja vu, obserwując jak rozpromieniony, triumfujący Obama melduje o śmierci Osamy, z dozą dramatyzmu, która pasowałaby do obwieszczania śmierci Adolfa Hitlera, lub samego diabła. Poziom prezentowanej nam wizji 'demokracji zachodniej' oraz jej 'dokonań', staje się coraz większym obciachem. Hussein, Osama, Kaddafi... Zawsze znajdzie się ktoś, na miejsce 'tego złego'. Należy jednak zwrócić uwagę prawnikom Obamy, by w kontraktach dla przyszłych współpracowników-dyktatorów i terrorystów, umieszczali dopisek o możliwości zmiany w umowie, lub jej spontanicznego, bolesnego (bardziej niż rak którym ostrzega się na opakowaniach papierosów) wygaśnięcia.

Autor: Tymoteusz Kochan

Źródło: [Centrum Informacji Anarchistycznej](#)

PRZYPISY

[1] <http://fakty.interia.pl/raport/bin-laden-nie-zyje/news/obama-na-zywo-ogladal-atak-na-bin-ladena,1632535>

[2] <http://lewica.pl/?id=24340>

[3] <http://wiadomosci.onet.pl/swiat/bin-laden-uzyl-kobiety-jako-zywej-tarczy-tchorzliw,1,4260331,wiadomosc.html>

[4] http://pl.wikipedia.org/wiki/Stabilizacja_Iraku

[5] <http://www.wsws.org/articles/2011/may2011/liby-m03.shtml>